

Autor: Marek Szymaniak

Tytuł: My, bezdomniaki od jabłek

**W pierwszej kolejności wybierają takich, którzy są pod ścianą. Pali papierosy? To złe, bo to znaczy, że jeszcze ma pieniądze.**

Sławomir ma czterdzieści dziewięć lat, a od dwudziestu nie ma domu. Dach nad głową stracił, gdy jego siostra wyszła za męża. Urodziła dziecko, potem drugie. W małym mieszkaniu komunalnym, a był to tylko pokój z kuchnią, żyła jeszcze ich matka. – Zrobiło się ciasno. Nie chciałem być ciężarem. Siedzieć im na głowie – opowiada.

Pewnego razu, gdy wrócił do rodzinnego domu, drzwi otworzył ktoś obcy. Siostra wyprowadziła się bez jego wiedzy. Po śmierci matki przeniosła się do innego mieszkania. Tam nie było już dla niego miejsca. – Po tym, co się stało, jest między nami konflikt. Nie utrzymujemy kontaktów – mówi.

Ze wsi Jaworowo w kujawsko-pomorskim wyjechał do pracy w sadach pod Warką. Wspomina, że miał wtedy wybór: Warka albo ulica. – W noclegowni można spać tylko siedem nocy, a potem jest karencja tygodnia na ulicy. Śpi się wtedy na dworcu, na klatkach schodowych w blokach, ale krótko. Ochroniarze pilnują i wyganiają, bo bezdomny śmierdzi. Ludziom to przeszkadza i ląduje się na mrozie – mówi Sławomir, który po kilku takich miesiącach zdecydował, że wróci do Warki. – Traktują tam gorzej jak psa, ale jest dach nad głową.

\*

Roman ma pięćdziesiąt sześć lat, od blisko dwudziestu jest rozwiedziony. Bezdomny prawie tak samo długo. Z przerwami pracował w sadach w Warce i w okolicach Grójca. – Kto raz napije się wody z Pilicy, to zawsze już będzie tam wracał. Ja też wracałem. Nawet po wyjściu z więzienia, gdzie odsiedziałem trzy lata za wyłudzenie kredytów, to pierwsze kroki gdzie? Na Warkę – mówi Roman. Na długo przedtem, zanim stracił dach nad głową, przez sześć lat pracował w kopalni. Mówi, że tam zaczął pić, bo warunki w domu górnika i towarzystwo sprzyjały. Rzucił robotę, bo chciał ratować małżeństwo. Nie pił dziewięć lat. Prowadził własny biznes. Przywoził z Niemiec używany sprzęt AGD i RTV. Naprawiał i sprzedawał z gwarancją. Ale alkohol wrócił, a wraz z nim awantury i kłótnie z żoną. – Potem był rozwód i zero perspektyw w moim rodzinnym mieście. Uciekłem, bo nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym widywać na ulicy moje dwie córki, a przede wszystkim żonę z jej nowym partnerem – mówi.

Przez miesiąc jeździł po rodzinie rozsianej po całej Polsce. W końcu trafił do Warszawy. Pierwszą noc przespał na ławce pod Pałacem Kultury i Nauki. Potem znalazł pracę na budowie. – Na czarno, bez umowy. Nie miałem gdzie się podziać, więc spałem na styropianie. Szefa musiałem prosić, aby dostać kilka złotych na jedzenie. Na koniec miesiąca okazało się, że więcej pieniędzy nie dostanę i mam się wynosić. Usłyszałem, że dach nad głową dostanę, pracując w sadach. Za ostanie pieniądze kupiłem bilet na pociąg do Warki.

\*

Zdzisław ma sześćdziesiąt siedem lat. Bezdomny od 1980 roku. Wychował się w wiosce pod Opolem. W rodzinnym domu aż piszczało z biedy. Postanowił, że wyjedzie do pracy. Miał dwadzieścia trzy lata i trafił do pracy w katowickiej hucie. – Naprawialiśmy piece. Jak któryś nawalił, to był wygaszany, a my wchodziliśmy do środka. Było gorąco jak w piekle. Po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stopni. Chodziło się w grubych drewniakach, a i one paliły się od nagrzanego podłogi. Pracowaliśmy tak godzinę i zmiana, bo nie można było wytrzymać – opowiada Zdzisław.

Mieszkał wtedy w hotelu robotniczym. Harowali świętek – piątek, bo jego zespół pomagał też w naprawach pieców w innych hutach i miastach. – Praca była na okrągło. Psuło się, to jechaliśmy w delegację. W rodzinnym domu bywałem rzadko. Nie chciałem tam wracać, bo nie dogadywałem się z rodzeństwem, ale póki ojciec żył, to czasem go odwiedzałem. Kiedy zmarł, to nawet mnie nie powiadomiono. Nie byłem przez to na pogrzebie. Od tamtej pory nie utrzymuję z rodziną kontaktów – mówi.

Kilka lat później przyjechał do Warszawy. Za dach nad głową pracował w hotelu, gdzie zajmował się sprzątnięciem i wywozem śmieci. Później pracę sprzątacza znalazł w supermarkecie, a pokój wynajmował. Kiedy stracił robotę, zamieszkał w namiocie przy Dworcu Zachodnim. Zamiatął plac dworcowy i zbierał puszki. W końcu trafił do Warki. – Nigdzie nie mogłem znaleźć pracy. Pojechałem tam, bo nie było wyboru.

\*

Roman mówi, że gdy pierwszy raz – a było to w 2001 roku – wysiadł na dworcu w Warce, przeżył szok. Zobaczył tłum ludzi, spośród których sadownicy wybierali pracowników. – To był istny spód niewolników. Panowie gospodarze chodzili z założonymi z tyłu rękami i patrzyli, kto jak wygląda, czy ma silne ręce. Jednemu kazali nawet zębami świecić. Pokazują od początku, kto tu rządzi. Oni nawet nie traktują nas jak ludzi. Mówią o nas bezdomniaki albo bandosy, którzy przemieszczają się za owocem – stwierdza. Dodaje, że gospodarze w pierwszej kolejności wybierają takich, którzy są pod ścianą. – Najbardziej zrozpaczonych. Głodnych i bez grosza. Dlatego najpierw stają na parkingu i przez szybę samochodu obserwują, kto jak się zachowuje. Pali papierosy? To źle, bo to znaczy, że jeszcze ma pieniądze. Oni wolą przegrańców, bo zrobią wszystko, co im się każe. Chcą niewolników, a nie pracowników.

Sławomir mówi, że pojechał pracować do Warki, bo nie chciał mieszkać na ulicy. Gospodarz wybrał go z tłumu na dworcu. – To taki targ niewolników – potwierdza wrażenia Romana. – Podjeżdżają rano, a tam już stoi ciąg ludzi. Panowie wysiadają z aut, oglądają i wybierają ludzi do pracy – wyjaśnia i dodaje, że gospodarz obiecał mu nocleg, jedzenie i stałe pieniądze. – Przywiózł mnie na podwórko i zaprowadził do stodoły. Mówi: „Tu będziesz spał”. A tam siano, snopki, w to rzucone jakieś szmaty udające łóżko. Mówię do niego: „To nie są warunki dla ludzi”. A on na to: „Jak ci się nie podoba, to wypierdalaj”. Nie miałem pieniędzy i trzydzieści kilometrów wracałem na dworzec pieszo.

Zdzisław opowiada, że pierwszą robotę dostał, gdy tylko wysiadł z pociągu. – Akurat brakowało ludzi. Łapali każdego, jak za Niemca. Wsadzili mnie do samochodu i obiecali dwadzieścia pięć złotych za dzień pracy. Do tego nocleg i jedzenie. Na miejscu okazało się, że pieniędzy będzie mniej. Ale nie miałem wyboru i zostałem – mówi.

W kryzys bezdomności można wpaść bardzo łatwo. Czasem wystarczy rozwód i brak majątku. Innym razem utrata pracy i kilka niezapłaconych rat kredytu. Adriana Porowska, prezeska Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, która pomaga osobom bez dachu nad głową, mówi, że niektórzy jej podopieczni stracili dom i trafili do pracy w sadach, bo uciekali od biedy lub wyzysku w rodzinie. – Myśleli, że popracują w nich tylko przez kilka miesięcy. Planowali, że zarobią na wyjazd za granicę i tam ułożą sobie życie, ale w okolicach Grójca zostawali na lata. To miejsce zamiast ratunkiem stało się dla nich pułapką, bo zarabiają tam grosze. Zbyt mało, aby móc odłożyć większą kwotę umożliwiającą start poza tym światem, a będąc tam, tracą człowieczeństwo. Są traktowani gorzej niż zwierzęta. Po czymś takim psychicznie są zniszczeni. To w wielu przypadkach jest już jałowa ziemia. Nie ma na czym budować ich poczucia wartości. Po latach oderwania od rzeczywistości powrót do normalnego życia, jak my to pojmujemy, wydaje się im niemożliwy – twierdzi Porowska.

\*

W rejonie grójecczyzny tradycja uprawy jabłek sięga królowej Bony. Dziś bogate w sady okolice Grójca są najważniejszym polskim regionem upraw i przetwórstwa tych owoców, dostarczają około czterdziestu procent krajowej produkcji. Nazywa się je „największym sadem Europy”. Polska jest zresztą jednym z największych producentów i eksporterów jabłek na świecie. W 2017 roku statystyczny Polak zjadł dwanaście kilogramów świeżych jabłek. W tym samym okresie eksportowano z kraju owoce warte trzysta dwadzieścia dwa miliony euro. Najwięcej trafia na Białoruś, Ukrainę i do Kazachstanu.

\*

Dzień roboczy w sadzie zaczyna się zwykle o siódmej rano i kończy o siódmej wieczorem. W południe godzinna przerwa na obiad. Roman wyjaśnia, że jeśli posiłek zapewnia gospodarz, to stawka godzinowa jest zwykle o dwa złote niższa, czyli zamiast ośmiu wynosi sześć złotych na rękę. – To złodziejstwo, bo zwykle to tylko zupa z wkładką. Drugie danie jest może dwa razy w tygodniu. Najczęściej to ziemniaki, surówka i kotlecik, czyli ten hamburger z Biedronki. W paczce jest ich kilkanaście za pięć złotych. Podobnie ze śniadaniem i kolacją: dwie kromki chleba i czarny salceson albo pasztetowa, bo najtańsze. W zakładzie karnym lepiej karnią, bo dwudaniowy obiad jest codziennie. Wiem, co mówię, przecież siedziałem – podkreśla Roman.

Jak wygląda praca? To zależy od pory roku. Latem i wczesną jesienią trwa zbiór jabłek. Zimą pracuje się w chłodniach, a wczesną wiosną, kiedy zelżą mrozy, podcina się gałęzie i pieli ziemię z chwastów.

W sezonie zmiana zwykle trwa dłużej. Gospodarze wymagają, aby pracować „od skowronka do sowy”, czyli od piątej rano do dziesiątej wieczorem. – Jest tylko jedna przerwa na jedzenie. Reszta to wiadro i drabina – mówi Roman.

Każdy pracownik w ciągu dnia musi zebrać określoną normę. Zwykle to cztery, pięć skrzyń po trzysta kilogramów każda, czyli łącznie nawet półtorej tony. Sławomir mówi, że jeśli człowiek się nie wyrabia, to gospodarz potrąca mu z pensji. – Trzeba się szybko uwijać, żeby tyle nazbierać. A do tego delikatnie. Najpierw zerwać w wiaderko, zejść z drabiny i powolutku wysypać do skrzyni. Nie można za gwałtownie, bo nie może się obić. Musi przecież nieraz cały rok w chłodni przeleżeć. A jak zgnije jedno, to zaraz cała skrzynia.

Część pensji można stracić, nawet gdy się wyrabia z normami. Wystarczy, że gospodarz widzi, że przysiądziesz i zapalisz papierosa, to obcina stawkę o złotówkę. – A przecież człowiek chce odsapnąć chociaż na chwilę, bo cały dzień na nogach. Ciężko nie przysiąc na tyłku, bo zemdleć można – dodaje Sławomir.

– Tam się liczy tylko jabłko. Pośpiech jest niesamowity. Gospodarze cały czas poganiają. Dną się. Krzyczą: szybciej i szybciej. Nieważne, że deszcz czy burza. Rwiesz, bo trzeba zerwać. A potem stoisz zmoknięty na drabinie. Jak ubranie nie wyschnie przez noc, to wkładasz mokre – mówi Roman i dodaje, że często robotników w sadzie pilnują dzieci. – Nastolatki po dwanaście, trzynaście lat mają pod sobą nawet piętnaście osób. Stoją z kijem i po imieniu się do ciebie dną. A my, bandosy, musimy mówić do nich na „pan”. Jak na folwarku: jest parobek i jest panicz – mówi.

Jeśli krzyki nie pomagają i gospodarz uważa, że pracownik rwie za wolno, to wygania go z sadu bez zapłaty. – Bywa, że ktoś pracuje dwa, trzy dni i do widzenia, bez pieniędzy. Gospodarz mówi wtedy: „Nie wyrabiałeś się, więc to ja jestem stratny, że cię żywiłem i dawałem dach nad głową” – opowiada Sławomir.

Zdzisław opowiada, że u jednego gospodarza pracował nie tylko jako zrywacz, ale jeździł też ciągnikiem, przez co jego norma była mniejsza niż reszty i wynosiła tonę. Za dzień dostawał wtedy pięćdziesiąt złotych.

Roman mówi, że gospodarze ciągle jęczą, że im mało. Podkreślają, jacy są nieszczęśliwi. – To nie jest tak, że nam płacą sześć, siedem złotych za godzinę, bo nie mają, i sami jeżdżą starymi polonezami. U każdego, gdzie pracowałem, na podwórku stoją nowe lexusy i mercedesy. Ich stać na to, żeby dać nam więcej, ale nie widzą takiej potrzeby, bo nie widzą w bandosie człowieka. Ich zdaniem my, bezdomniaki od jabłek, nie mamy potrzeb. Myślą, że jak zjemy i zapalimy papierosa, to już wszystko – dodaje Zdzisław.

Jednak prawdą jest też to, że w ostatnich latach plantatorzy jabłek zmagają się z trudnościami. Marcin Lis, sadownik w trzecim pokoleniu i wiceprezes Stowarzyszenia Sady Grójeckie, przekonuje, że problemy branży są bardzo złożone i nie można wskazać jednej przyczyny trudnej sytuacji. Trzeba zacząć od klęski urodzaju. W 2017 roku drzewa wypoczęły, bo wiosną były przymrozki. Dlatego rok później plon był bardzo wysoki. – Nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie jest za dużo jabłek – mówi Lis i dodaje, że drugą przyczyną kryzysu

branży sadowniczej jest embargo ze strony Rosji, dotychczasowego największego odbiorcy polskich jabłek. Trzecią są programy pomocowe bezpłatnej dystrybucji. – Wycofanie owoców z rynku i przekazanie ich do szkół, organizacji charytatywnych. Okazało się, że było to bardzo szkodliwe, bo rozdawanie za darmo tak ogromnych ilości jabłek zabiło handel detaliczny, obroty spadły o połowę i nic dziwnego, bo jak się rozdaje za darmo, to potem nikt nie chce kupować.

Marcin Lis uważa, że w tym sezonie kilogram jabłek powinien kosztować w skupie powyżej jednego złotego, aby interes był opłacalny dla sadowników. – Średniej jakości jabłka deserowe kosztowały czterdzieści groszy za kilogram, więc w tym roku na pewno nie jest to opłacalny biznes. A gospodarstwo to nie jest coś, co można wziąć na plecy i przenieść w inne miejsce. Łatwo powiedzieć: można się przebranżowić. Gospodarstwa budowane są przez pokolenia. U mnie zaczynał dziadek, ojciec kontynuował i ja dalej robię to samo. Osiągnęliśmy wysoki poziom. Serce by pękło, gdybym musiał to zostawić.

\*

Zimą praca w gospodarstwie przenosi się do chłodni. Przy linii stoi kilku robotników i przebiera jące po taśmie jabłka. – Oddziela się zdrowe i duże od reszty. Na jedno jabłko jest około sekundy. Mierzy się je kalibrownicą, ale nie ma na to czasu. Ja po latach mam miarkę w oku – mówi Sławomir i dodaje, że przez kilkanaście godzin pracy ciągle wykonuje się jeden ruch. – Człowiek jest opatulony, bo zimno, więc wszystko grabieje. Od stania bołą nogi, kręgosłup, stawy, ale nie można się ruszyć, bo taśma jedzie. A jak człowiek się pomyli, to jest opieprz – dodaje.

Kilka lat temu u jednego gospodarza w okolicach Warki Roman pracował w chłodni nawet w wigilię. – Zamek w drzwiach był popsuty, więc zamykało się je tylko z zewnątrz. Pracowałem od rana i nikt mnie nie wypuścił ani na obiad, ani na kolację. Zapomnieli o mnie. Nie miałem telefonu. Nie było jak ich wezwać, więc z nudów dalej przebierałem jabłka. Dopiero po dziesiątej wieczorem się gapnęli, że w chłodni się świeci, i mnie wypuścili. Byłem przemarznięty na kość – wspomina.

Jesienią 2018 roku stawka godzinowa w sadach w okolicach Grójca i Warki wynosiła około ośmiu złotych za godzinę na rękę, czyli kilka złotych mniej niż ustawowe 13,70 brutto. O minimalną stawkę godzinową nikt tu nawet nie pyta. – Wszyscy pracują na czarno. Bez umowy, a więc i bez prawa do legalnej pensji – mówi Zdzisław.

Sławomir dodaje, że można być dobrym pracownikiem, ale wystarczy zapytać o umowę, ubezpieczenie czy wyższą pensję, a gospodarz już każe się wynosić. – Byłem świadkiem sytuacji, że ktoś o to pytał i dostawał w pysk. Bito nawet kobiety – podkreśla.

Roman opowiada, że sam nieraz upominał się o ubezpieczenie. – Od razu dostawałem kopa w dupę i trzydzieści minut na spakowanie się. Gospodarz nie negocjuje, tylko jedzie na dworzec po nowego bandosa – mówi i dodaje, że osoby bezdomne godzą się na te warunki, bo nie mają wyboru. – Nikt się nie buntuje. Nie myśli o strajku, bo nie ma siły. Nawet po robocie mało kto ze sobą gada. Umyć głowę i spać, bo rano trzeba wstać. Nie ma wspólnoty, przyjaźni.

Mało kto sobie ufa, bo często wśród pracowników jest kapo, który donosi gospodarzowi. To osoby, które są w stanie sprzedać człowieka za złotówkę więcej. Czują się lepsi, bo za donosy pan daje im nową kurtkę czy kawałek ciasta w niedzielę. Strajk w takim miejscu nigdy się nie uda, bo nawet jak umówimy się, że rano nie wyjdziemy w pole, to gospodarz zaraz o wszystkim się dowie i rano weźmie nowych parobków z dworca.

Wspomina też, że pewnego razu stał się z jednym z zaufanych ludzi gospodarza. – Złapałem go za szmaty i mówię: „Chłopie, kim ty tutaj jesteś? Popatrz na tego psa. On codziennie miskę dostaje za darmo. Tylko za to, że jest. A ty, żeby to dostać, musisz zapierdalać kilkanaście godzin i ludzi sprzedawać” – opowiada. – Klient dostał ode mnie w łeb, a ja musiałem się pakować.

Sławomir dodaje, że ci, którzy donoszą, też nie mogą czuć się pewnie. – Jak przychodzi koniec sezonu, to pierwsi dostają kopa. Dlaczego? Żeby pokazać, że ludzi ma się tu za nic.

\*

Praca w Sadach w okolicy Warki ma według osób w kryzysie bezdomności jedną zasadniczą zaletę: dach nad głową. Sławomir mówi, że pracował u sadowników, aby się ratować i nie spać na ulicy. – To szantaż, bo człowiek nie ma wyboru. Godzi się na to wszystko, nawet najgorsze warunki, żeby coś ze sobą zrobić – mówi.

Twierdzi, że w ciągu lat pracy w sadach tylko raz trafił do miejsca, gdzie warunki mieszkaniowe były przyzwoite. – I tam nie miałem umowy, ale budynek był z prysznicem, piętrowe łóżka, pościel zmieniana co tydzień, nawet telewizor – wymienia i mówi, że zwykle wygląda to dużo gorzej. – Nocleg jest na przykład w starej stodole albo oborze, za ścianą często są jeszcze zwierzęta: świny, krowy. Śpi się na odwróconych skrzynkach po jabłkach. Bez materaca. Na samych deskach albo na starych ciuchach. Po takim spaniu człowiek budzi się zmęczony, a trzeba wstać do roboty. To wygląda jak jakiś obóz pracy, niewolnictwo.

Zdzisław mówi, że gospodarze często obiecują nocleg z łazienką, a na miejscu okazuje się, że trzeba spać obok świń. – Przyjechaliśmy i od razu na pole. Wieczorem pytamy, gdzie mamy spać. Gospodarz mówi, że mieszkanie jeszcze niegotowe. Musieliśmy spać między krowami i świniami na słomie. Smród taki, że nie szło wytrzymać. Na drugi dzień wszyscy odeszli.

Roman wspomina, że raz trafił na europejski standard. – Praca bez umowy, ale warunki jak w hotelu: pokoje trzy-, czteroosobowe. Łazienka, prysznice, aneks kuchenny. Każdy ma swoją szafkę, komplet talerzy. Pościel zmieniali co dwa tygodnie – mówi i dodaje, że zwykle pościel jest sztywna od brudu, a połamane łóżka stoją na ceglach. – Ja miałem rodzinę na wsi i widziałem, że nawet świny mają lepsze warunki, bo gnój się wyrzuca kilka razy na tydzień.

Marcin Lis uważa, że opisane wyżej warunki mieszkaniowe są karygodnymi wyjątkami. Jego zdaniem w większości gospodarstw takie patologie nie istnieją. – Teraz osoby przyjeżdżające do pracy od razu pytają, czy jest internet, osobna łazienka z prysznicem, pralka czy telewizja. Takie teraz mają wymagania. Oczywiście wcześniej takich wymogów pracownicy nie mieli. Na pewno te warunki noclegowe były dawniej gorsze, ale nie wierzę, że ktoś spał obok zwierząt. To są historie wyssane z palca. – Podobnie jest jego zdaniem z warunkami pracy.

Lis twierdzi, że zdarzały się sytuacje, że nie wszyscy zatrudnieni mieli umowę, ale to były pojedyncze wyjątki, a nie reguła. – To wynikało z tego, że procedura zatrudnienia trwa długo i jest skomplikowana. To nie jest tak, że siadam przed komputerem, wypełniam formularz i już, gotowe. Trzeba jechać do urzędu. Biegać z papierami, a to generuje koszty. Bywa, że zanim przejdę taką procedurę, to ta osoba już u mnie nie pracuje. Teraz takich sytuacji, że ktoś pracuje bez umowy, już nie ma, bo są wzmożone kontrole – dodaje.

\*

Roman mówi, że rytm jego pracy w sadach w okolicy Warki wyznaczał alkohol. Twierdzi, że był wtedy czynnym alkoholikiem (dziś trzeźwym) i jeździł pracować, kiedy kończyły się pieniądze. – Nie zarabiał się dużo, więc kończyły się szybko. Wtedy wsiadało się w pociąg do Warki i zaraz była robota. Ale już u gospodarza nie ma picia, bo po co mu pijany pracownik – twierdzi Roman.

U niektórych wyjątkiem był niedzielny wieczór. Zdzisław mówi, że gospodarze czasem sami lubią wypić i szukają towarzystwa wśród pracowników. – Częstowali, a potem odliczali to od pensji, jak ktoś nie pamiętał, ile wypił. Było się wtedy na zero. Miało się spanie i jedzenie, ale żadnych pieniędzy, bo wychodziło, że to my stawiamy gospodarzom. – Nie było jednak tak, że można pić na umór, bo trzeba pracować. Jak ktoś próbował częściej pić, to wylatywał – dodaje Sławomir.

Marcin Lis potwierdza, że u sadowników bardzo często pracują osoby w kryzysie bezdomności. Przyznaje, że kiedyś sam je zatrudniał. – Zależy, na kogo się trafi, ale osoby sumienne to rzadkość. Często jest tak, że bezdomni mają problem z alkoholem i przez to rotacja w tej grupie jest bardzo duża. Przez miesiąc pracują, a potem tydzień czy dwa piją. Jak skończą im się pieniądze, to wracają – mówi Lis.

\*

Ciężka praca w sadach często odbija się na zdrowiu. Nierzadko zdarzają się też wypadki. Tak było w przypadku Zdzisława, który przez kilka lat pracował u jednego gospodarza pod Grójcem, aż złamał nogę. – Rwaliśmy jabłka. W sadzie pomagał syn gospodarza. Miał prowadzić traktor. Układałem skrzynki na przyczepie. Młody zbyt szybko puścił sprzęgło i maszyna skoczyła do przodu, a ja spadłem i złamałem nogę – opowiada Zdzisław i dodaje, że chłopak przestraszył się i pobiegł po samochód. – Zawiózł mnie takiego brudnego do szpitala w Grójcu. Dostałem gips, ale nie mogłem już pracować. Powiedzieli mi, że jak nie mogę robić, to wynocha – dodaje.

Jeszcze gorzej sadownicy potraktowali Sławomira. We wrześniu 2016 roku pracował w sadzie, rwąc jabłka. – To sezon, więc tempo było duże. Rano około dziesiątej poczułem się źle. Opadły mi usta, powieka. Nie mogłem wyraźnie mówić i podnieść ręki. Zacząłem utykać, bo traciłem czucie w nodze. Kazali mi się położyć spać. Dopiero wieczorem przyszli zobaczyć, jak się czuję. Ja już wtedy ledwo kontaktowałem. Po trzech dniach kazali mi się wynosić i wrócić, jak wyzdrowieję, bo nikt mnie tu nie będzie utrzymywał – opowiada Sławomir.

Gospodarze, widząc, że Sławomir nie może sam chodzić, wsadzili go do samochodu i wywieźli do Grójca. – Nie wezwali karetki czy lekarza, ale zawieźli do miasta, wysadzili pod hotelem w centrum i odjechali. Nie poszedłem do szpitala, bo nie byłem ubezpieczony. Miałem trochę grosza, to wynająłem pokój w hotelu. Ledwo, z wielkim bólem do niego dokuśtykałem. Po pięciu dniach, które niemal całe przespałem, skończyły się pieniądze, ale na szczęście poczułem się trochę lepiej. Nadal kulałem, ale już nie mdlałem – mówi.

Wtedy Sławomir wsiadł do pociągu i pojechał do Warszawy. Na Dworcu Centralnym znów poczuł się gorzej. Ochroniarze wezwali karetkę. W szpitalu okazało się, że ma udar. Do dziś nie odzyskał pełnej sprawności. – Rękę podnoszę, ale tylko do wysokości głowy i nie mam siły – mówi i próbuje mocno ścisnąć mi dłoń, a ja ledwo to czuję. – Taką ręką już jabłek nie zerwę.

– Jeśli ta historia o osobie, która dostała wylewu i została wywieziona, jest prawdziwa, to jest to karygodne. Nóż się w kieszeni otwiera. Nie chciałbym natomiast, aby taka historia demonizowała sadowników. Nie można łączyć takiego zachowania pracodawcy z branżą, jaką reprezentuje. To zależy od osoby – komentuje Marcin Lis. Adriana Porowska przyznaje, że zdecydowana większość osób, które pracowały w sadach i trafiły do jej placówki przy ulicy Traktorzystów 26 w Warszawie, jest w opłakanym stanie. – To zwykle osoby tak wyeksploatowane, że większość z nich nigdy już nie wróci na rynek pracy. Mają problemy z chodzeniem, przykurcze dłoni i zniszczone od dźwigania kręgosłupy, niedoleczone złamania po upadkach z drabin – mówi Porowska.

– Sama lubię jabłka – ciągnie prezeska – ale już ich nie jadam. Stają mi w gardle, bo tyle słyszałam historii o tym, jak traktuje się pracujących przy nich ludzi. Nie tak dawno mieliśmy w Misji człowieka, który złamał w sadzie nogę, a gospodarz odwiózł go kilka kilometrów od swojego gospodarstwa i zostawił w rowie przy drodze. Ten mężczyzna tkwił tam dwa dni, zanim jakiś kierowca zlitował się i zabrał go do szpitala – opowiada i dodaje, że do ośrodka, którym zarządza, raz na jakiś czas przyjeżdżają osoby prowadzące gospodarstwa, żeby wziąć ludzi do pracy. – Im się wydaje, że robią coś szlachetnego, bo chcą dać ludziom pracę, spanie i jedzenie. Zawsze ich gonimy. Dlaczego? Bo nie przechodzą weryfikacji, czyli pytania, czy oferują umowę. Odpowiedź to zawsze: „Wie pani? Po co?”. Odchodzą obrażeni. Jedna pani w futrze i ze złotymi pierścionkami na wszystkich palcach, łącznie z kciukiem, po weryfikacji tak trzasnęła drzwiami, że futryna o mało nie wyleciała. Więcej do nas nie przyjechała – wspomina Porowska.

\*

Gdy Sławomir, Zdzisław i Roman opowiadali mi swoje historie, mieszkali w warszawskim Pensjonacie Socjalnym „Święty Łazarz” Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, gdzie osoby w kryzysie bezdomności mogą czasowo przebywać do wyprostowania swoich spraw: wyrobienia dokumentów, podreperowania zdrowia, regulacji kwestii prawnych.

Dziś Sławomir i Zdzisław ze względu na pogarszający się stan zdrowia mieszkają w domach pomocy społecznej. Sławomir przechodził rehabilitację, bo liczył, że będzie mógł wrócić do



pracy, na przykład w ochronie. – Chciałbym jeszcze pracować, ale ręka nigdy już nie odzyska pełnej sprawności – mówi.

Roman mieszka obecnie w mieszkaniu treningowym. Trafiają tam osoby, które przeszły terapię uzależnień, odbyły szkolenia zawodowe i znalazły stałą pracę. Samodzielne mieszkanie jest dla niego milowym krokiem ku prawdziwej niezależności. Dlatego Roman sam płaci część rachunków i czynszu. Ciągłe też podnosi kwalifikacje i stara się uporządkować sprawy finansowe. – Wyrok za fałszerstwo podpisów odsiedziałem, ale długi pozostały. Teraz trwa moje postępowanie upadłościowe. Powoli wychodzę na prostą.

Porowska: – Wyzyskujący ich pracodawcy robią to dla większego zysku. Brakuje im refleksji i empatii. Może nawet nie wiedzą, że czynią im tak ogromną krzywdę. Gorzej, że my się na to godzimy. Widzimy w sklepie jabłka za dwa złote za kilogram i nie zastanawiamy się, jak to możliwe. Kto za to płaci? A gospodarstwa to nie bezludne wyspy. Zaglądają tam przecież listonosze, kurierzy, może sołtys. Nie wiedzą, co się dzieje?

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

**Miejsce i data publikacji:**

miesięcznik „Pismo. Magazyn opinii” - wydanie (4/2019 r.)

**Link do publikacji w Internecie:**

<https://magazynpismo.pl/rzeczywistosc/reportaz/my-bezdomniaki-od-jablek/>